

— Czy pan poczynił jakie starania u rządu?  
— Podałem prośbę, ale bez poparcia może przeleżeć w kancelaryi rok i dłużej... w każdym razie, jak pan doktor widzi, obliczyłem się skrupulatnie i posagu przyszłej żony nie wciągam w moją rachubę. Prośba moja do pana doktora streszcza się w tem, ażeby pan był łaskaw i podjął się pośrednictwa pomiędzy mną a panem Filarkiem.

— Pomijam, panie Romanie, że z zasady, dajmy na to chrześcijańskiej miłości, unikam wszystkiego, co może się przyczynić do nieszczęścia bliźniego, a cóż dopiero pana, dla którego mam dużo sympatii.

— Nieszczęścia? — zaśmiał się Roman, — przecież mówiłem panu, że ja kocham i uważam, że tylko w połączeniu się z nią znajduję szczęście... Czy pan ją zna?

— Przed dwoma czy trzema laty byłem z nią kilka razy w towarzystwie; wyglądała świeżo i ładnie, ale... wiem z doświadczenia, że zakochani, jak pan, mają inne oczy, inny słuch, inne rozumowanie i wnioski.

— Nie, nie, myli się pan. Ja patrzę bardzo trzeźwo i nie zamykam oczu na błędy.

— Tak? — uśmiechnął się doktor, — więc ideał ma plamy? i jakie?

— No, nie jest dość praktyczna, trochę nadto buja nad ziemią, nie bierze w rachubę realnych warunków... jednym słowem, jest idealistką.

— Istotnie, — uśmiechnął się doktor z wesołą ironią, — obserwował ją pan z wyjątkową bezstronnością. Ona wydała mi się cokolwiek inną, ale to wina oczu.

— Ale jaką? powiedz, doktorze, jaką? — prosił Roman.

— Zaraz... pozwól pan kieliszek wina? mam niezłe u siebie — i nie czekając odpowiedzi przyniósł butelkę i dwie lampki.

Roman, biorąc wino do ręki, rzekł z uśmiechem:

— Czy mam pić na wzmocnienie, słuchając pańskiej krytyki?

— O nie. Chociażby pan i wiadro wypił, a ja bym dał panu i materyalne dowody, że pan się myli co do niej, i tak panby mi nie uwierzył. To jest właściwością choroby, której pan ulega.

— Ja, doktorze, nie z tych ludzi zaślepionych, nie darmo jestem handlowcem i wszystko na zimno obliczam. Powiedz mi pan szczerze o niej, będę bardzo wdzięczny.

— O wdzięczności nie wątpię, ale, czy moje słowa przydadzą się panu, to rzecz inna. O ile mogłem poznać pannę Maryę w tak krótkim czasie, lubi się ona ubierać w barwy poezji, w sentymentalne smutki, zdaje się jej, że z bezcelowością życia jest jej do twarzy, a czynność jedzenia uważa za tak brzydką, że w towarzystwie z trudnością daje się namówić do skosztowania cukierka lub tortu. Cóż robić! Bywają takie idealne istoty, które jak motyle przelatują z kwiatka na kwiatek, raz siadają na poezji, drugi raz sfruną na prozę... to zależy, jaka suknia odpowiada chwilowemu nastrojowi towarzystwa.

Roman słuchał tych słów z miną człowieka pozbawionego dla błędów cudzych i rzekł z uśmiechem wyższości:

— Pan swe obserwacje czynione na innych pannach przenosi żywem na pannę Maryę. Pan nie zna jej duszy, to szczerza, głęboko czująca natura.

— Wiedziałem o tem, — zaśmiał się doktor, — i krytykowałem, chcąc doświadczyć stopnia miłości pana. Tak, tak, pan zakochany bez ratunku. Wracając do mojej roli pośrednika, przyznam się panu, panie Romanie, że wątpię, ażebym się dobrze wywiązał z polecenia, mimo mych najlepszych chęci. Tak trudno znaleźć sposób porozumienia się pomiędzy mną a panem Filarkiem. Radziłbym panu poszukać pośrednika innego, albo człowieka z pozycją, z rangą wysoką, któryby imponował panu Filarkowi; albo też wybrać człowieka obeznanego z interesami handlowymi i przemysłowymi; taki znajdzie drogę do rozumu i serca pana Filarka.

Roman, słuchając tej rady, uprzytomnił sobie przypuszczalną rozmowę doktora z ojcem Mani. Doktor, sceptyczny, z wykwinutą ironią i delikatnością uczuć, broni jego sprawy wobec ciężkiego, suro-

wego, rażąco materyalnego Filarka. Istotnie, porozumienie się tych dwóch, tak przeciwnych ludzi, wydało mu się co najmniej wątpliwem, jeśli nie niemożliwem.

— Wie pan, panie doktorze, po namyśle przyznaję panu słuszność. Wy obaj z Filarkiem z trudnością moglibyście się zrozumieć. Poproszę chyba pana Stokłosa.

— W sam raz człowiek dla pana Filarka. Obaj dorobili się majątku, a ponieważ pan Stokłos przewyższa tamtego sprytem, rzutkością i stosunkami, może być dobrym adwokatem pańskiej sprawy, o ile jej nie sprzeda za miskę soczewicy.

— O, nie! to uczciwy człowiek, a cieszę się przyjazną życzliwością jego żony.

— A więc jak w dym do państwa Stokłosów, — zaśmiał się doktor, — niech dobią targu.

— Dziś nie pójdę, bo mam być u panny Maryi... Czy wolno panu zadać jedno pytanie bez dyskrecji?

— Czy pan mnie uważa za jaką niewiastę pełną tajemnic i drażliwości? Przecież my, mężczyźni, po-



— Ona jedna i jedyna nosi na sobie charakter Krakowian.

winniśmy być ze sobą szczerzy. Może nie zechcę odpowiedzieć na owo pytanie, ale chyba nie obrazi to pana?

— Czy pan nigdy nie kochał?

— Dlaczego?

— Taki pan sceptyczny, drwiący, i taki niemiłosiernie trzeźwy.

— Uspokój się pan, panie Romanie, piłem i ja z tego kielicha, aż do zawrotu, do szaleństwa...

— I znalazł pan męty na dnie? — przerwał mu Roman.

— Nie, czasza była kryształowa, ale nie mówmy o tem. Co słyhać w domu u państwa? Mama zdrowa? panna Irena uczy się?

— Mama martwi się moimi zamiarami, ale w ciichości, a Irena zatopiona w XIV wieku.

— Szczęśliwa, tylko jedna nauka nie zawodzi, raduje się człowiek poznając ją, a cieszy się, że ma tyle do poznania. Tego rodzaju mania jest rodzajem puklerza wobec banalności i głupoty życia codziennego.

Roman spojrział na zegarek i zawołał wstając:

— Idę już, spóźniłem się.

— Pędź latawcze białonogi... życzę powodzenia, no i szczęścia.

Roman, stanawszy u drzwi mieszkania państwa Filarków, nacisnął klamkę i ku swemu zdziwieniu zastał drzwi otwarte. W głębi przedpokoju ujrzał Manię uśmiechniętą przyjaźnie, a powitała go łagodną wymówką:

— Spóźnił się pan.

— Moja wina, — ucałował jej rękę.

— Na ten raz przebaczam. Czy zamknął pan drzwi na zatrzask?

— Tak jest, — spróbował.

— Może przejdziemy do gabinetu, nie lubię salonu; pan ma słuszność, w salonie jest smutno i ceremonialnie.

Przeszli do mniejszego pokoju, oświetlonego wiszącą, kolorową lampą i Mania usiadła na kozetce, wskazując krzesło Romanowi, który zdziwiony jej zachowaniem się i zaniepokojony możliwością wejścia ciotki i Stasi, spytał niepewnym głosem:

— Czy pani Urszula w domu?

— Stęsknił się pan za nią? — zaśmiała się.

— Wyszły ze Stasią do miasta, wkrótce wrócą.

Roman uśmiechnął się radośnie i postanowił skorzystać z tak szczęśliwej chwili.

— Jak to dobrze, że nareszcie panią samą zastałem. Tak pragnąłem tego i dopiero dziś szczęśliwy traf sprzyja mi. Czy nie mam prawa mówić o szczęściu?

Mania uśmiechnęła się dyskretnie, gdyż sama sprowadziła ten szczęśliwy traf, ale odpowiedziała cichym głosem:

— Nie widzę w tem szczęścia. Pana może znudzić moje usposobienie. I jak ja zazdroszczę Stasi jej wesołości i tego jej życia bez troski i niepokoju.

— A właśnie mnie czaruje pani usposobienie. Pani jesteś taka niepospolita, tak wyższa od swego otoczenia, takie ma pani szlachetne pragnienia.

— Nie pochlebiaj mi pan; mam swoje wady i znam je. I tak pragnęłabym się z nich poprawić, być taką jak inne, wesołą, swobodną, uśmiechniętą.

— Nie, nie, zostań pani taką, jaką jesteś. Niech ta pani czysta dusza nie zniża się do poziomu przeciętnych ludzi, zwykłych panien na wydaniu, które są zawsze rade, gdy o ich względy ubiegają się lada wąsy.

— O, do takich nie należę i nigdy należeć nie będę. Ja pragnę, — patrzała rozmarzonymi oczyma przed siebie, — harmonii ducha, czystości uczuć... i wie pan, — ożywiła się, — gdy byłam dziewczynką małą, marzeniem mojem było zamieszkać w pałacu z kryształów lodu, a wokoło mieć takie czyste, białe, puszyste, śnieżne pola. Po prostu kocham się w białości śniegu.

— To naturalne, — pospieszył Roman, — to odruch białej duszy pani pragnącej w życiu otulenia się w białe śniegi niewinności. I pani pragnie być inną, zmienić się? — mówił z wyrzutem, — to byłoby samobójstwem, świętokradztwem popełnionem na duszy pani. O, zostań pani sobą! — wziął ją za rękę, — bądź mi tym jasnym, białym aniołem, który samą

swą obecnością rozprasza smutki, troski i brudy codziennego życia.

Zsunął się na kolana i mówił z zapalem:

— Ja cię kocham, uwielbiam, pragnę ci poświęcić moje życie, przyszłość. Od pierwszej chwili poznania czułem i czuję, jak wielkie zmiany zaszły we mnie, czuję się lepszym, doskonalszym... nie rzucaj rozpoczętego dzieła, powiedz, że kiedyś spotka mnie to niewysłowione szczęście i zostaniesz moją żoną!

Mania z wzrastającą ciekawością i bardzo chętnie słuchała tych oświadczeń i dziwiła się, że tak mało ją wzruszają te gorące słowa. Jakiż on nieśmiały, jak niezgrabnie klęczy, jaki on zimny... wspomniawszy miłość Romea do Julii, tamten zaraz przy pierwszym poznaniu ściska, całuje, a ten klęczy i ledwie oczy podnosi na nią.

— Wstań pan, — powiedziała zniecierpliwiona.

— Nie wstań, póki nie usłyszę słowa nadziei. Mam już dość tej męki.

— I co pana tak męczy? — nachyliła się ku niemu.

(Ciąg dalszy nastąpi).